



Mirosław Derecki (M.D.)

## EKRAN I WIDZ: BOGDANOVICH W ... SINGAPURZE

Debiut fabularny Petera Bogdanovicha, nakręcony w 1971 r. „Ostatni seans filmowy”, od razu zwrócił uwagę krytyki oraz widowni na osobę młodego amerykańskiego reżysera. Melancholia, z jaką trzydziestoletni twórca pokazywał życie głębokiej prowincji amerykańskiej odchodzącej od dawnych tradycji, a podporządkowującej się krzykliwej popkulturze i bełkotowi telewizyjnemu, nostalgia, z jaką Bogdanovich wspominał „dawne, dobre czasy” - wszystko to wywierało na widzu niezatarte wrażenie.

Osią dramaturgiczną, wokół której obracał się film Bogdanovicha, była historia ostatniego seansu w likwidowanym przez właścicieli kinie - wieloletnim punkcie zbornym miejscowej społeczności. Teraz do kina nikt już nie chce chodzić: ludzie albo uciekają z prowincji do wielkich metropolii przemysłowych, albo tkwią zamknięci w domach. Wpatrzeni w ekrany telewizorów. Stara Ameryka odchodzi w przeszłość: na „ostatnim seansie filmowym” nieprzypadkowo idzie klasyczny western Howarda Hawksa „Rzeka Czerwona”; to nie tylko pożegnanie z filmem kowbojskim, ale (także z całym światem, z którego Western wyrastał...

Debiutant nie był nowicjuszem w dziedzinie filmowej. Zanim powstał „Ostatni seans filmowy”, Peter Bogdanovich przez kilka lat był współpracownikiem znanego amerykańskiego reżysera i producenta Rogera Cormana, twórcy licznych horrorów, kryminałów i obyczajowych melodramatów, człowieka, który w Stanach Zjednoczonych zyskał przydomek „King of the Bs” - króla filmów klasy B. Corman nie miał może wysokich ambicji twórczych, ale ogromnych umiejętności warsztatowych nikt mu nie może odmówić. Oglądaliśmy w Polsce jego ekranizację „Kruka” wg E. A. Poego - był to majstersztyk w swoim gatunku.

Corman, to była dobra szkoła zawodu, a Bogdanovich posiadał jeszcze przy tym talent, inteligencję i ambicję. Nie chciał kręcić komercyjnych „dreszczowców”, ale terminowanie u mistrza horroru nie pozostało w nim bez echa: pierwszym filmem Bogdanovicha był dokument zatytułowany „Targets” („Cele”), zrealizowany w 1968 r., a opowiadający o znanym bohaterze horrorów Borisie Karloffie. Była to zarazem wyprawa w głąb historii kina. Młodego reżysera fascynował fenomen kina, jego narodzin i początków, romantyka, jaka

towarzyszyła jego dynamicznemu i obfitującemu w niezwykle wydarzenia rozwojowi, oddziaływanie X Muzy na szerokie, wylaniające się właśnie z mroków ciemnoty, masy społeczne. Odtąd w twórczości Petera Bogdanovicha stale przewijał się będzie wątek „filmowy”: albo będą to odniesienia do dawnego kina we wziętym na warsztat „współczesnym” temacie, albo będzie on kręcił swoiste pastisze, w rodzaju powstałego w 1976 r. „Nickelodeonu”.

Nie zawsze są to rzeczy udane. W pewnym momencie Bogdanovich zostanie pochopnie zaliczony do twórców, którzy niebezpiecznie daleko zabrnęli w bardzo specyficzną manierę, bez nadziei otrząśnięcia się z niej. Historyczno-nostalgiczne kinowe pasje młodego amerykańskiego reżysera zaczęły mu zjednywać niebezpieczną opinię zdolnego „kopisty” starego kina... Obliczony na artystyczny i kasowy sukces „Nickelodeon” brał na warsztat temat kapitalny: okres tzw. „wojny patentowej”. To znaczy - przełom pierwszego i drugiego dziesięciolecia XX wieku, kiedy to w Stanach Zjednoczonych trwała walka pomiędzy filmowym trustem „Motion Picture Patent Company” a „Niezależnymi”, i w której wyniku centrum produkcji zimowej przesunęło się ostatecznie z Nowego Jorku do nikomu dotąd nie znanej, położonej na przeciwległym krańcu kontynentu północnoamerykańskiego, małej miejscowości – Hollywood... Niestety, „Nickelodeon”, chociaż z ogromną starannością i pietyzmem wobec historycznych realiów, był filmem nieskończenie nudnym.

Wydawało się, że gwiazda Bogdanovicha zdecydowanie przygasa. Tymczasem - ostatnio oglądamy na ekranach film, który pokazuje reżysera jakby zupełnie odrodzonego, innego. To „Saint Jack”, który z czteroletnim opóźnieniem trafił do polskich kin. Barwna, szerokoekranowa, pełna specyficznego humoru, z lekkością opowiedziana „historia z Dalekiego Wschodu”.

Film należy do gatunku „przygodowych”, ale nie pozbawiony jest głębokich podtekstów. Rzecz dzieje się w Singapurze, w okresie, gdy w Wietnamie toczy się „amerykańska wojna”. Bohater, tytułowy Jack, to Amerykanin osiadły na Dalekim Wschodzie, niegdysiejszy uczestnik wojny koreańskiej, kiedyś - początkujący pisarz, a teraz znany w całym mieście, wśród białych i żółtych, drobny geszefciarz, handlowy pośrednik i pokątny alfons marzący o otwarciu własnego ekstraklasowego burdelu. Jack to wyrzutek społeczny, ale zarazem... człowiek dobry, powszechnie lubiany i na swój sposób szanowany. Jednostka opadła, ale pełna radości życia, nie pozbawiona, mimo wszystko - choć bardzo swoiście pojmwanych - zasad moralnych i humoru. Zdruzgotany przez tryby maszyny wojennej człowiek, nie pozbawiony miary człowieczeństwa.

Cały film wspiera się na barkach odtwarzającego postać Jacka, genialnego w tej roli, Ben Gazzary. Ale przecież nie byłoby „Saint Jacka” bez oka i ręki Petera Bogdanovicha. Bez jego talentu, bez jego mądrego spojrzenia na feeryczny półświatek dalekowschodniej

metropolii. Na ten ludzki teatr skąpany w pięknych dekoracjach i na jego brudne kulisy: na cały ów fascynujący świat, który pokazuje nam na ekranie.

„Saint Jack” - to Bogdanovich jakiego dotąd nie znaliśmy!

PS. Ludziom zbyt przekonanym o swojej wielkości pozwolę sobie zacytować dowcip z tego filmu: „Ile ma pan wzrostu?” - pyta malajska prostytutka gościa, który jej w czymś uchybił. „Metr dziewięćdziesiąt” - odpowiada zapytany. „No, to jest pan już dostatecznie wysoki, żeby pocałować słonia w dupę!”

Pierwodruk: „Kamena”, 1983, nr 26, s. 11.